



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zbigniew Boras

## W poszukiwaniu własnego kąta

Zduńska Wola. Jeden z pierwszych dni września 1939 roku. Dopiero co skończyłem piąty rok życia. W wyniku przełamania frontu przez wojska hitlerowskie przez miasto przetaczają się tłumy uciekinierów z terenów nadgranicznych, zarażając amokiem ucieczki również zduńskowolan. Moich rodziców i ich przyjaciół również. Postanowili udać się do Piotrkowa Trybunalskiego, odległego o około 50 kilometrów w kierunku południowo-wschodnim. Tam mieszkał mój stryj z rodziną. Ponieważ ojca (pracownika urzędu skarbowego na stanowisku kierowniczym) zatrzymywały obowiązki służbowe, postanowiono, że matka wyjedzie natychmiast ze mną i ze znajomą rodziców Marią M., żoną Jana M., gimnazjalnego kolegi taty. Rodzice Jana M. mieszkali w Piotrkowie.

Środkami lokomocji były rowery. Moja matka na tzw. „damce” (bez ramy u góry), a Maria M. ze mną na ramie. Ustalona trasa przejazdu przez Łask i Wadlew. Mój ojciec ma dotrzeć do Piotrkowa po wykonaniu zadania służbowego, polegającego na przekazaniu pieniędzy ze skarbca Izbie Skarbowej w Łodzi. Opuszczamy Zduńską Wolę wtapiając się w kolumnę uciekinierów, w której daje się od czasu do czasu zauważyć polskich żołnierzy uzbrojonych w karabiny. Jeden z nich na widok nadlatującego wzdłuż szosy na niskiej wysokości od strony Łasku samolotu już się zamierzał do oddania w jego kierunku strzałów, lecz w ostatniej chwili wstrzymano go od tego, ponieważ zauważono na skrzydłach biało-czerwone szachownice. Drugi wypadek, jaki mi się utrwalił w pamięci z tego samego momentu, to próba zlinczowania młodego mężczyzny, który przysiadłszy na poboczu szosy zdjął podkute buty. Niektórzy z uciekinierów spoglądając na nieszczęśnika pod słońce, widząc odbłask słońca na podkówkach, zinterpretowali tę czynność jako przekazywanie szpiegowskich znaków lotnikowi. Do linczu nie doszło, ale ten przykład unaocznia, jaka panowała wtedy atmosfera, uzasadniona zresztą działalnością tzw. „piątej kolumny”.

Dojeżdżając do Łasku trafiamy na niemiecki nalot bombowy na miasto. Policjanci nakazują zatrzymać się, pozostawić rowery i zejść do schronów. W tym czasie gubimy z oczu moją matkę. Po zakończonym nalocie dwie godziny szukaliśmy jej, ale bez rezultatu. Maria M., sądząc że matka nie uszła z życiem, wynajęła taksówkę i jedziemy do Piotrkowa. Po minięciu Wadlewa widać z oddali, jak to miasto płonie. Moja opiekunka zmienia więc kierunek jazdy i decyduje się udać do Łodzi, a stamtąd do Legionowa. W Legionowie mieszkała jej matka i bracia. Po wyjechaniu z Wadlewa w kierunku Pabianic zauważono nadlatujący z przeciwnej strony niemiecki samolot, ostrzeliwujący szosę i wszystko wokół niej. Na naszych oczach zabił dziewczynkę pasącą krowy na poboczu drogi. Przy następnym nawrocie zrzucił bomby celując w nasz samochód. Przeczuwając ten manewr taksówkarz polecił nam opuścić szybko auto. Następnie próbował przemieścić się wraz z nami do zagajnika odległego od szosy o jakieś

20-30 metrów. W momencie, gdy przebiegając znaleźliśmy się wszyscy w rowie obok szosy, jedna ze zrzuconych bomb wybuchła obok nas na polu zasypując nas ziemią. Mielśmy to szczęście, że znaleźliśmy się poza zasięgiem jej rażenia. Po wygrzebaniu się z ziemi i stwierdzeniu, że samochodowi również się nic nie stało, udaliśmy się w dalszą drogę do Łodzi. W Łodzi trafiamy na kolejny nalot lotniczy. Tam moja opiekunka zmienia taksówkę, by udać się dalej przez Warszawę do Legionowa.

W tym czasie moja matka w Łasku, po skończonym nalocie lotniczym, wychodzi ze schronu. Mało że nas nie znajduje, to jeszcze okazuje się, że jej rower wraz ze wszystkim co miała na drogę (także torebką z dokumentami i pieniędzmi) zarekwirował jakiś żołnierz. Tak jak stała udała się w dalszą drogę pieszo do Piotrkowa, dokąd dotarła po licznych przygodach. Tymczasem mój ojciec (zastępca naczelnika) przebywał wraz z naczelnikiem w urzędzie skarbowym w Zduńskiej Woli, oczekując na odbiór zawartości skarbcza przez Łódzką Izbę Skarbową. Naczelnik w czasie nalotu czy ostrzału artyleryjskiego wyszedł na zewnątrz gmachu. Prawdopodobnie wybuch nastąpił na nim lub w jego pobliżu, bo z ciała nie pozostało żadnego śladu. Został uznany za osobę zaginioną. Natomiast mój ojciec, po przekazaniu pieniędzy przedstawicielom Izby Skarbowej – tak jak było umówione – udał się tą samą drogą do Piotrkowa. Za Wadlewem jednak dalszą podróż uniemożliwiły mu czołgi Guderiana, zmierzające do Warszawy po przełamaniu obrony naszych wojsk pod Częstochową. Udał się zatem do Łodzi. Przeczekał przejście frontu u brata mojej mamy Stanisława P, urzędnika celnego mieszkającego w końcu ulicy Piotrkowskiej na terenie posiadłości Geiera. Po przyjeździe do Piotrkowa spotkał się z mamą. Na powitanie zapytał: „A gdzie Zbyszek?”. Tego jednak moja mama nie wiedziała.

A ja tymczasem przebywam w Legionowie. Po tygodniu w wyniku narady rodzinnej postanowiono oddać mnie do przytułku w Warszawie. Nastąpiło to około 10 września. O ile dobrze pamiętam zostałem odwieziony przez Marię M. kabrioletem, który prowadził oficer w mundurze. Pozostawiono mnie w „przytułku dla starców” przy ulicy Czerniakowskiej. Kiedy w pokoju na pierwszym piętrze Maria M. mnie żegnała, zadałem jej pytanie: „Ciociu, przyjdiesz jeszcze po mnie?” – opowiedziała, że tak i pospiesznie wyszła. Po pewnym czasie zabrała mnie stamtąd kilkunastoletnia harcerka w szarym mundurku i przewiozła czy też przeprowadziła do sierocińca na ulicy Żelaznej. Pamiętam, że po drodze kupiła mi jakąś słodycz w osmiokątnym kiosku.

Zapamiętałem, że sierociniec mieścił się w wielopiętrowej kamienicy z oficynami bocznymi i śródkową oraz z podwórkiem-studnią. Za jedną z bocznych oficyn mieścił się plac ogrodzony siatką, podobny do placów szkolnych. Dalej był budynek fabryczny, który jednej nocy na skutek lotniczego nalotu palił się i cały sierociniec musiał się na pewien czas ewakuować.

W nowym miejscu pobytu należałem do jednej z dwóch grup dzieci najmłodszych. Każda z nich liczyła około 20 dzieci. Z tego okresu utrwaliło mi się w pamięci również to, że opiekunowie mieli ze mną nieco kłopotów, ponieważ zdarzało mi się nocami brudzić prześcieradło. Inny zapamiętany fakt. Na plac wspomniany wyżej, na którym przebywali chłopcy z różnych grup w różnym wieku, opiekunowie wnieśli w wiklinowych koszykach kanapki chleba z omastą i plasterkami pomidorów. Wszyscy rzucili się do jedzenia. Ja też sięgnąłem po jedną kanapkę, ale wydarł mi ją znacznie starszy ode mnie chłopiec. Jedną ręką wziął kanapkę z koszyka, a drugą wyszarpnął z mojej dłoni. Tak zacząłem doświadczać – nieco za wcześnie – prawa silniejszego, czyli prawa pięści.

Obłężenie Warszawy trwało prawie miesiąc, więc wyżywienie takiej gromadki sierot stwarzać musiało opiekunom nie lada kłopot. Mięso, którym byliśmy karmieni pochodziło na ogół z zabitych w wyniku bombardowań i ostrzału artyleryjskiego koni. Od tamtego pobytu do chwili obecnej konina jest dla mnie mięsem nie mniej wartościowym od innych mięs, a najbardziej mi smakuje właśnie „tatar” z koniny. Ale tak naprawdę, to wszyscy byliśmy wówczas niedożywieni.

Ppor. artylerii Jan M. przemierzał wraz z Armią „Łódź” szlak odwrotu znad zachodniej granicy, aż do okolic Rawy Ruskiej, gdzie w tym samym czasie znaleźli się również dwaj inni podporucznicy Wojska Polskiego o znanych nazwiskach – Józef Cyrankiewicz i Jan Nowak (później Nowak-Jeziorański). Pod Rawą zgrupowanie, do którego należał Jan M., dostało się pod ostrzał dwóch wrażeń artylerii. Dowództwo zdecydowało, że dalsza walka jest niecelowa i wybierając między niewolą niemiecką i „internowaniem” sowieckim zdecydowało się na to drugie. Żołnierze sowieccy kazali ustawić się w kolumnie według nieznanego musztry „formujsia pa tri”, tzn. w trójszeregu. Przeprowadzono ich do koszar we Włodzimierzu Wołyńskim. Tych samych koszar, w których przed paru laty Jan M. ukończył szkołę oficerską artylerii. Teraz znalazł się w tym samym budynku i w tej samej sali, gdzie przebywał jako elew. Po pewnym czasie oficerów umieszczono w wagonach kolejowych i wieziono w kierunku wschodnim. W wagonie, w którym jechał Jan M., było jeszcze jego pięciu kolegów gimnazjalnych z Piotrkowa Trybunalskiego, w tym dwóch braci. Jeden z braci był oficerem zawodowym w stopniu kapitana, drugi podporucznikiem rezerwy. Jan M. namawiał całą piątkę kolegów do ucieczki. Kapitan oświadczył, że będąc oficerem zawodowym jest chroniony konwencją genewską i nie ucieka. Drugi z braci rzekł, że w takim razie zostaje z bratem. Pozostał z nimi jeszcze jeden. Jan M. wraz z pozostałymi dwoma kolegami, tak jak on podporucznikiem rezerwy, uciekł z pociągu, gdy ten zwoził na jednym z zakrętów. Skakano z wagonu po stronie zewnętrznej łuku torów. Utrudniało to obserwację

konwojentom pociągu. W tym momencie pociąg znajdował się w okolicach Równego, czyli w pobliżu przedwojennej granicy państwowej z ZSRR. Po udanej ucieczce i pomocy udzielonej przez Żyda, który dał im cywilne ubrania, przedarli się do Lwowa, gdzie przez dwa tygodnie chronili się w piwnicy Ukraińca. Po tym czasie ów Ukraińiec zakomunikował im, że następnej nocy będą przeprowadzane przez nacjonalistów ukraińskich, w tym i przez jego brata, rewizje w poszukiwaniu takich uciekinierów jak oni. W związku z tym jest to niebezpieczne zarówno dla nich, jak i dla niego. Jeszcze tej samej nocy udało im się przekroczyć linię demarkacyjną między strefami okupacyjnymi sowiecką i niemiecką. Jak wiadomo szansa przejścia była pół na pół. Jeden z nich udał się bezpośrednio do domu do Sieradza. Następnego dnia rano został aresztowany przez gestapo i znalazł się w Oświęcimiu, gdzie zginął. Jan M. wraz z ppor. rez. Tarwidem zdecydowali się na Warszawę, gdzie przebywali całą okupację uczestnicząc czynnie w AK. Nazwiska trzech pozostałych w wagonie kolegów figurują na liście ofiar zamordowanych w Katyniu.

Mój ojciec, zaraz po ustaniu działań wojennych, zdecydował się na podróż w nieznaną, by odszukać syna. Postanowił przede wszystkim odnaleźć Marię M. Skierował się do Legionowa, gdzie spodziewał się ją zastać. Sprawdzał, czy mnie nie ma w napotykanym sierocińcach, szpitalach i na cmentarzach. Gdy dotarł do Legionowa i zastał tam Marię M. z jej matką i pozostałą najbliższą rodziną, początkowo nie mógł uzyskać logicznej odpowiedzi na postawione pytanie – co się ze mną stało. Dopiero na stwierdzenie wzburzonej takim zachowaniem bratowej Marii M., że ojcu trzeba powiedzieć prawdę, przyznano się do oddania mnie do przytułku w Warszawie. Po wielu latach miałem możliwość podziękowania jej za to ludzkie zachowanie. Ojciec oświadczył wtedy Marii M., że tak długo będzie musiała mu towarzyszyć w jego poszukiwaniach syna, dopóki go nie odnajdzie. Kiedy znaleźli się w Warszawie na Czerniakowskiej, zastali tam gruzowisko po przytułku dla starców, do którego zostałem oddany. Stróż tego obiektu na pytanie co się stało z pensjonariuszami powiedział: „tak jak państwo widzicie, zostali tu pod tymi gruzami”. Ale powiedział też, że tu żadnego dziecka nie było, bo to był dom starców. Dodał, że następnego dnia będzie w tym miejscu dyrektor, który być może będzie coś więcej wiedział.

Na drugi dzień przed pomieszczeniem, w którym miał się znajdować dyrektor, wydawano z kotła zupę dla biednych i ojciec nie mógł precyzyjnie do wejścia. Posądzano go, że chce pobrać zupę poza kolejnością. Wreszcie wyprowadzony z równowagi siłą rozpedził towarzystwo i obrzucony epitetaми poszkodowanych dostał się przed oblicze dyrektora. Ten przypomniał sobie przypadek pozostawienia małego chłopca, ale poinformował, że to dziecko zostało przekazane do jednego z pięciu sierocińców w Warszawie. Do którego – niestety nie wie. Jeszcze tego samego dnia sprawdzono w czterech, ale bez rezultatu. Następnego dnia (26 października) ojciec wraz z Marią M. udali się do piątego. Znaleźli intendenta sierocińca. Ten wiedział o mojej obecności w sierocińcu, ale widząc napięcie nerwowe ojca, bał się jego reakcji i zaczął wprawdzie opowiadać, że wiele dzieci nie przetrzymało trudnych warunków, część zginęła w wyniku nalotów i ostrzału artyleryjskiego itd.. Po pewnym czasie wyszedł na podwórze, gdzie właśnie ja byłem ze swoją grupą maluchów. Stał pośród nas i wymienił moje imię. Wystąpiło nas dwóch. Potem padło moje nazwisko. Wziął mnie za rękę i poprowadził do pomieszczenia, w którym był mój ojciec. Wyszła na nasze spotkanie Maria M. i na mój widok rozpostarła ramiona, chcąc mnie uściskać, ale ja ją ominąłem i wszedłem do pokoju. Trudno opisać co się dalej działo. Pozostawieni sami dłuższy czas płakaliśmy jak bobry.

Po rozstaniu z Marią M. ojciec zabrał mnie do wynajętego mieszkania, gdzieś na ulicy Pułaskiego. Wyszorował mnie w wannie, a zauważywszy liczne wrzody na moich nogach zaprowadził do lekarza. Ten stwierdził, że wrzody powstały wskutek niedożywienia i zalecił intensywne dokarmianie z zachowaniem odpowiedniej diety. Po upływie tygodnia wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu do Zduńskiej Woli pierwszym pociągiem, jaki po działaniach wojennych wyjechał z ówczesnego Dworca Głównego w Warszawie do Łodzi. Ponieważ miał kurs nocny, z domu na Puławskiej wyszliśmy późnym wieczorem. Ojciec niósł mnie „na barana”. O tej porze obowiązywała wprowadzona przez władze okupacyjne godzina policyjna i Polakom nie wolno było przebywać na ulicach. Napotykanie niemieckie patrole wysłuchując wyjaśnień ojca, nakazywały iść bocznymi ulicami, ale on za każdym razem wracał na Puławską, a potem na Marszałkowską, bo tylko tę drogę znał. Gdy tak szliśmy (ja na ramieniu) pełnymi gruzu ulicami, z wieloma zniszczonymi i wypalonymi budynkami po obu stronach, odezwałem się głośno: „Tato, ale my oddamy Szwabom za to, co nam zrobili”. Ojciec nakazał mi być cicho, informując że wielu Niemców zna język polski.

Dotarliśmy na Dworzec Główny. Na peronie na nasz podstawiony pociąg oczekiwało mniej więcej trzy razy tyle ludzi, niż mógł pomieścić. Mieliśmy to szczęście, że dostaliśmy się do środka mając nawet miejsce siedzące. Ponieważ czas odjazdu się przedłużał, pasażerowie zaczęli wyjmować kanapki lub owoce i je spożywać. Byłem wyголоđniony, więc widząc to co raz wykrzykiwałem: „Tato patrz, ta pani je chleb z pomidorami”, albo „...ta pani je chleb z sardynkami” itp. Zaintrygowani tym współpasażerowie spytali ojca o przyczynę takiego zachowania. Kiedy zaczął im opowiadać nasze wojenne przygody, panie wzruszone przykładały chusteczki do oczu, a następnie zaczęły mi podawać kanapki i z sardynkami i z pomidorami. A ja jadłem, jadłem i jadłem.

Po dojechaniu do Łodzi zatrzymaliśmy się u mojego wuja i chrzestnego ojca, u którego ojciec przebywał uprzednio w drodze ze Zduńskiej Woli do Piotrkowa. Ledwie weszliśmy, ja już zauważyłem leżące jedzenie i pokazując je tak się odezwałem: „Wujek, ta angelka (łódzkie określenie bułki paryskiej) będzie moja, wujek te szprotki to będą moje”. Wzruszony i zaskoczony wujek odpowiadał – „tak, będą twoje”.

Drogę z Łodzi do Łasku odbyliśmy ciężarówką Wehrmachtu. Dalej do Zduńskiej Woli chłopską furmanką. Kiedy znaleźliśmy się przed domem przy ulicy Narutowicza 4, w którym oczekiwała nadal nie wiedząca co się ze mną dzieje mama, ojciec pozostawił mnie na podwórzu schowanego za garażem. Kiedy mama zaczęła się rozglądać wypatrując mnie na ulicy, ja odezwałem się za jej plecami „mamusiu!”. Reakcja matki była podobna, jak ojca przy naszym spotkaniu w sierocińcu w Warszawie. Znacznie później, gdy te przeżycia nieco przyblakły, kiedy moje zachowanie wobec rodziców odbiegało od oczekiwanego, zwracali się do siebie w mojej obecności: „chyba to nie nasz syn. Pewnie go nam zamieniono w sierocińcu”. Ja się wtedy broniłem, przypominając szczegóły z życia rodzinnego sprzed wojny.

Nie minął nawet miesiąc od mojego powrotu do domu. Jest 1 grudnia wieczorem. Mama wyjęła mnie po kąpieli z wanny. Wszyscy jesteśmy w domu. Nagle ostre pukanie do drzwi. Otwiera ojciec. Wchodzi dwóch Niemców w cywilnych, charakterystycznych płaszczach za skóry i oświadcza po niemiecku, że mamy ubrać się, spakować rzeczy podręczne i za 10 minut opuścić mieszkanie. Oszolomiony ojciec zaczął: nerwowo chodzić po pokoju. Zawsze przytomna w takich sytuacjach matka spakowała przede wszystkim dyplom ukończenia studiów wyższych ojca. Za podpowiedzią przychylnego nam właściciela domu – Niemca, wzięła też ciepłe ubranie i tłuste jedzenie. Niemiec obiecał, że tyle ile będzie mógł to przeniesie z naszego do swojego mieszkania i w swoim czasie nam przekaze. Słowa dotrzymał.

Było to pierwsze wysiedlenie ludności polskiej z powiatu sieradzkiego ziemi łódzkiej, włączonej do Rzeszy (z Sieradza, Szadku, Zduńskiej Woli i Złoczewa). Wszystkich wyrzuconych przepędzono przez miasto i ulokowano w dwóch miejscach: w jednej z fabryk w okolicach dworca kolejowego i w gmachu szkolnym (bodajże było to Gimnazjum Piłsudskiego).

Przebywaliśmy w fabryce chyba trzy dni. Nie wolno było nikomu opuszczać tego miejsca. Nie informowano nas, co się z nami stanie, co nas czeka. Następnie umieścili nas w pociągu osobowym z zamkniętymi drzwiami i pod eskortą pojechaliśmy w kierunku wschodnim. Wśród eskorty był znajomy ojca. Zagadnięty udął, że nie słyszy. Po tygodniowej podróży dojechaliśmy do Sandomierza. Ponieważ w wyniku działań wojennych most kolejowy w Tomaszowie Mazowieckim był uszkodzony, wieziono nas drogą okrężną przez Częstochowę. W Sandomierzu umieszczono nas w dużej sali w szkole przy ulicy Żeromskiego, nieopodal poczty. Po dwóch tygodniach Niemcy zakomunikowali, że tu lub w okolicy mamy sobie urządzić dalszą egzystencję. Na tereny, z których nas wywieziono nie wolno nikomu wracać pod karą śmierci.

Ojciec wywiózł mnie z mamą do swojego brata w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie korzystaliśmy z gościny przez całą zimę. Sam rozpoczął pracę w urzędzie skarbowym w Sandomierzu i urządził mieszkanie na największym wzniesieniu w mieście przy ulicy Okrzei 4. Mieszkaliśmy tam aż do czerwca 1945 roku. Właśnie w Sandomierzu doznałem wiele, nawet za wiele jak na małego dzieciaka negatywnych przeżyć. Ale i tak mogłem czuć się uprzywilejowany w porównaniu z tymi, którzy stracili jedno lub oboje rodziców, nie mówiąc o skazanych na całkowitą zagładę Żydów.

Któregoś pogodnego dnia byłem z ojcem w mieście (tak określało się w domu centrum miasta w odróżnieniu od przedmieścia, gdzie my mieszkaliśmy). Było to jeszcze przed zamknięciem Żydów w getcie. Ale już mieli oni obowiązek m.in. noszenia na lewej ręce powyżej nadgarstka białej opaski z niebieską gwiazdą Dawida. Była to chyba niedziela, bo w dniu roboczym o tej porze ojciec byłby w pracy. Od czasu do czasu ojciec zatrzymywał się, zamieniając parę zdań ze swymi znajomymi, również Żydami. Po zakończonym rozmowie z jednym z Żydów i pożegnaniu się z nim, gdy odeszliśmy zaledwie parę kroków usłyszeliśmy za sobą z bardzo bliska strzały. Po obejrzeniu się zobaczyliśmy leżącego na chodniku i zakrwawionego po postrzale w głowę – właśnie co dopiero pożeganego. Niemcy urządzili, jeśli tak w ogóle można odnieść to do istot ludzkich, „odstrzał” kilku, czy też kilkunastu Żydów w mieście. Wywołało to postrach zarówno wśród ich pobratymców, jak i u Polaków. Prawdopodobnie Niemcom zależało na takim efekcie. Przeżyłem to strasznie.

Na wieść o przewiezieniu wszystkich zabitych na kirkut, udałem się tam wraz z innymi ciekawskimi chłopakami, by zobaczyć co się tam dzieje. Rozpoznałem wśród nich również tego znajomego, którego zabito przy nas. Ten wypadek wywołał u mnie głęboki wstrząs psychiczny. Byłem pierwszy raz bezpośrednim świadkiem śmierci i to nie naturalnej, tylko raczej egzekucji. A wtedy miałem dopiero siedem lat. Przez około dwa tygodnie krzyczałem przez sen. Ojciec chcąc mnie wyrwać z majaków oprowadzał mnie nieprzytomnego wokół stołu. To kręcenie w kółko dawało efekt przeciwny do zamierzonego. Krzyczałem i płakałem jeszcze bardziej. Majaki senne wzmacniały się. Kto wtedy myślał o potrzebie pomocy ze strony psychiatry. Te wypadki spowodowały zaprzestanie przez grupę

wyrostków, w której i ja byłem jako jeden z najmłodszych, dokuczania Żydom przez głupie wybryki dla uciechy. Polegało to na wrzucaniu gawronów do bożnicy w czasie odprawiania modłów, bo podobno był to zły omen i wywoływało to wielki rejwach. A właśnie ten rejwach był zabawny dla gawiedzi. Albo co gorsza, tłuczenie szyb w domach starozakonnych w czasie szabatu. Starsi chłopcy dawali mi procę do ręki i uczyli, jak się nią posługiwać. Wstrząs wywołany zabiciem grupy Żydów musiał poruszyć nawet najbardziej zdeklarowanych antysemitów, a co dopiero dzieci. Ale to było tylko preludium do tego, co nastąpiło potem.

W jakiś czas po nas przybył do Sandomierza i zamieszkał razem z nami brat mamy z Łodzi. Musiał uciekać ze swojego miasta. Był moim ojcem chrzestnym. Bardzo się lubiliśmy. Gdy ojciec bywał srogi, on stawał w mojej obronie. Ale raz nie wtrącił się w nazwijmy to rozgrywkę między ojcem a synem. Było to chyba w maju 1941 roku. Niemcy szykowali się do wojny z ZSRR i przez szosę opatowską (Mickiewicza) przemierzały transporty wojska na wschód. W przypadkach kolizji z kimkolwiek lub czymkolwiek miażdżyli wszystko. Przy przechodzeniu przez ulicę trzeba było dobrze uważać. A ja w niedzielę wybrałem się po kościele w odwiedziny do kolegi na Żeromskiego. Miałem wrócić na obiad. Ponieważ nie wróciłem w ustalonym czasie, rodzice zaczęli się niepokoić. Ojciec rozpoczął poszukiwania. Znalazł mnie w parku (obiad zjadłem u kolegi) po drugiej stronie niebezpiecznej ulicy. Chwycił mnie i nic nie mówiąc zaprowadził do domu. Tam kazał opuścić krótkie spodnie i położyć się na taborecie. Giętką trzcinką wlepił mi na gołą pupę pięć razy, a potem w zapamiętaniu powtarzał tę serię jeszcze kilkakrotnie. Po oprzytomnieniu robił mamie wyrzuty, że mu w tym nie przeszkodziła. Przez prawie dwa tygodnie mama pokazywała moje posiniaczone poniżej pasa miejsce wszystkim sąsiadkom. Takie rozmowy z ojcem miałem w swoim życiu jeszcze dwie. Wszystkie dobrze pamiętam z dokładnymi datami.

Oprócz brata mamy okresowo przebywał u nas również drugi uciekinier – kuzyn mamy ksiądz Ciesiołkiewicz. Uczył mnie kaligrafii, czyli ładnego pisania. Za nieumiejętne trzymanie w ręku pióra ze stalówką dostawałem po łapach. Wujek ten udał się następnie do Warszawy, gdzie przebywał do powstania. W pierwszych dniach powstania został przez Niemców rozstrzelany na Woli.

W 1941 roku ukończyłem siedem lat i rozpocząłem naukę na tajnych kompletach wraz z koleżanką, która repetowała pierwszą klasę. Przez jeden rok przerobiłszy program pierwszej i drugiej klasy. Nauczycielką była pani Grzybowska pochodząca z Kęt koło Bielska-Białej. Przed wojną uczyła podobno matematyki w klasach licealnych. Lekcje odbywały się w jej mieszkaniu. Mieszkała, o ile pamiętam, wraz ze swoją matką w domu znajdującym się na przedłużeniu ul. Ciszewskiego na południe od ul. Puławiaków. Ponieważ nauka była przez okupanta zakazana, zeszytów nie można było nosić w torbistrach. Nosilem je w ręku między dwoma kawałkami odpowiednio przyciętej dykty. W dni przypadających przed wojną świąt i 19 marca (dzień imienin „Dziadka”) zamiast lekcji deklamowaliśmy stosowne wiersze i śpiewaliśmy patriotyczne piosenki przy akompaniamencie pani profesor na fortepianie. Mieszkanie nauczycielki było stosownie udekorowane.

Do lata 1944 roku zaliczyłem program czterech klas przedwojennej szkoły powszechnej. W latach osiemdziesiątych będąc służbowo w Bielsku Białej odwiedziłem panią profesor Grzybowską w jej mieszkaniu w Kętach. Miała już około czterdziestu lat i była emerytowaną wykładowcą w studium pedagogicznym. Opowiedziała mi wtedy, że za zasługi w AK otrzymała z Londynu „Krzyż Walecznych”. Jednym z wykonanych przez nią ryzykownych zadań było przewiezienie pociągiem radioodbiornika z Radomia do Sandomierza. W czasie tej podróży na dworcu kolejowym chyba w Radomiu Niemcy zrobili rewizję wszystkich podróżnych. Pani Grzybowska zachowała zimną krew i usiadła na ławce obok niemieckiego kolejarza w mundurze. Dzięki temu została potraktowana przez kontrolujących jako Niemka i nie poddano jej rewizji.

W połowie marca, na dwa tygodnie przed urodzeniem się mojej siostry, w niedzielę o godzinie piątej rano obudziło nas mocne pukanie do okna. Po otwarciu drzwi do mieszkania wszedł jakiś człowiek i krzyknął do ojca: „Uciekaj pan, Białego aresztowali”. Zgodnie z sugestią ojciec zniknął z domu na około 10 dni. Jak się okazało niepotrzebnie, bo jak by był na liście, to i tak nie uniknąłby aresztowania. Aresztowano członków oddziału AK (czy jeszcze ZWZ), którego dowódcą był oficer WP o nazwisku Biały. Pan Biały mieszkał wraz z żoną i dzieckiem, o ile mnie pamięć nie myli, na ulicy Czyżewskiego na wprost Sienkiewicza. Gdy Niemcy zabierali męża z domu zaniepokojona żona zwróciła uwagę, że jej mąż jest bardzo chory na serce. Otrzymała cyniczną odpowiedź – „My pani męża wyleczymy”. Po zakończonym śledztwie został wysłany do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, którego nie przeżył. Ojciec mi opowiadał, że na początku konspiracji jej uczestnicy, nie tylko młodzież, nie zachowywali podstawowych zasad bezpieczeństwa. W lokalach prowadzili często głośne rozmowy na tematy działalności konspiracyjnej. Co prawda Polska nie wydała takich zdrajców jak Francuzi i Norwegowie (marionetkowe faszystowskie rządy), ale gestapowskich donosicieli nie brakowało. Widząc to, mój ojciec unikał spotkań dekonspirujących i prawdopodobnie dzięki temu nie podzielił losu Białego i innych z jego oddziału.

Ojciec pracował w urzędzie skarbowym jako poborca podatkowy. Z tej racji bywał bardzo często w terenie, był więc wykorzystywany jako swego rodzaju kurier. W czasie okupacji Niemcy twierdzili, że w każdym polskim domu jest co najmniej jeden partyzant. Na ulicy Okrzei, mającej cztery numery, rzeczywiście tak było. W każdym domu był jeden. Dwóch kilkunastoletnich młodzieńców zapłaciło za to życiem pod sam koniec okupacji hitlerowskiej, gdy słychać już było radzieckie działa.

Był ciepły letni dzień (prawdopodobnie) 1942 roku. W getcie żydowskim epidemia tyfusu plamistego. Wraz z grupką chłopców obserwujemy na ulicy drabiniasty wóz, taki jakim wówczas wożono ziemniaki, prowadzony przez dwóch Żydów w asyście dwóch znanych ze szczególnego okrucieństwa gestapowców – wyższego przysadzistego Leschera i niższego, szczupłego niemieckiego Ślązaka o imieniu Edward, znakomicie operującego językiem polskim. Wóz nakryty dużym białym prześcieradłem, pod którym coś się ruszało. W bezpiecznej odległości towarzyszyliśmy temu tajemniczemu orszakowi z getta aż do bramy kirkutu. Ponieważ za wozem brama została zamknięta, a mur był dla nas za wysoki, więc wyżsi spośród nas służyli za podpory dla mniejszych. Tak stałem się obserwatorem i świadkiem najpotworniejszej w moim życiu zbrodni. Kiedy wóz wjechał mniej więcej na środek cmentarza, Żydzi na polecenie gestapowców podnieśli drewniane boki wozów zrzucając to co się na nim znajdowało, a dokładniej tych. Były to bowiem chore na tyfus żydowskie dzieci. Kiedy wóz odjechał nieco dalej, gestapowcy wyjęli z kabur pistolety i zaczęli strzelać do główek tych małych nieszczęśników. Jedna z dziewczynek, wyglądająca na najstarszą spośród nich, może dwunastoletnia, złapała za but Leschera, jakby błagała o darowanie jej życia. Ten machnął w górę nogą i strzelił w zawisłą w powietrzu głowę dziewczynki.

Ginęli nie tylko Żydzi. Któregoś dnia szedłem do ojca do urzędu skarbowego. Droga prowadziła przez rynek, gdzie pod figurą św. Józefa z Dzieciątkiem dokonywano egzekucji trzydziestu zakładników-Polaków. Zagipsowano im usta, by nie mogli wznosić patriotycznych haseł. Strzelano do skazańców pojedynczo, co parę minut. Strzały oddawało jednocześnie dwóch żołnierzy; jeden w pozycji stojącej, drugi klęczącej. Mówiono, że wykonawcami rozwalki byli Łotysze. Okoliczną ludność spędzono, by się przyglądała temu mordowi.

W rynku pod murem ratusza rozstrzelano również jako zakładników ośmiu znakomitych przedstawicieli inteligencji sandomierskiej. Jak pamiętam, a przecież minęło od tego czasu ponad pół wieku, mówiło się wtedy, że nie ma końca tej śmiertelnej karuzeli. Zabijano Niemców z wyroków podziemia lub w obronie własnej. Hitlerowcy stosowali zasadę zmasowanego odwetu – dziesięciu Polaków za jednego Niemca. Dla zlikwidowania partyzantki sandomierskiej „Jędrusiów” ściągnęli podobno specjalną jednostkę z Berlina, która straciwszy trzecią część swojego stanu nie osiągnęła zamierzonego celu.

Letni lub wczesnojesienny, ciepły, mglisty i bezwietrzny poranek. Taki smród, że nie można oddychać. Wspomniany gestapowiec Edzio zatrzymał staruszkę zaciskającą nos i zapytał czystą polszczyzną: „Czemu się babciu tak trzymacie za nos”. Odpowiedziała „że cosik tak śmierdzi”. A on na to: „To widzicie babciu tak śmierdzą polskie świny”. Jak się dowiedzieliśmy później, Niemcy spalili wtedy na cmentarzu żydowskim zwłoki rozstrzelanych Polaków z Ostrowca Świętokrzyskiego. Był to odwet za rzekomy sabotaż – wysadzenie magistrali gazociągu. W specjalnie przeprowadzonym przez władze podziemne dochodzeniu stwierdzono, że wybuch nastąpił z przyczyn natury technicznej, ale inżynier odpowiadający za eksploatację tego rurociągu, obawiając się odpowiedzialności z tego tytułu, oświadczył Niemcom, że to był sabotaż. Tym inżynierem był niestety Polak. W wyniku decyzji podziemnego sądu wykonano na nim wyrok. Wspomnę tu także, że podobno w Sandomierzu wyroki brawurowo wykonywał niepozorny, siedemnastoletni młodzieniec.

Za mniejsze przejawy nielojalności wobec rodaków stosowano inne kary. Jednego razu rozeszła się po mieście wiadomość, że dwóm paniom ogolono głowy do zera, w tym jednej za zadawanie się z oficerem Wehrmachtu. W czasie spotkania towarzyskiego w jej domu z udziałem owego oficera weszło kilku mężczyzn. Niemcowi kazali tylko zdjąć obrączkę. Winowajczyni natomiast ogolono głowę do zera, a mężowi oznajmiono, że za nie dopilnowanie żony dostanie dwadzieścia czy też więcej kijów. Biedak na to dictum zemdlął i na tym się skończyło. Jak się znacznie później okazało wykonawcami byli min. także sąsiedzi. Sandomierzanie, jak pamiętam, wyrażali się o takim potraktowaniu owych „dam” z aprobatą.

Jak u większości rodaków, tak i w mojej rodzinie stół nie był obfity. Przynoszenie, jak to się wtedy mówiło, odciąganego mleka z nieco odległego centrum miasta, należało do moich obowiązków. Później chodziłem po dobre mleko do gospodarzy w Gołębicach. Droga w tamtą stronę była tak błotnista, że w czasie deszczu błoto wlewało się przez cholewki. Do mnie również należało wykarmienie sześćdziesięciu królików. Mięso z królika zastępowało każde inne. Mama pichciła z niego wszelkie dania, nawet rosół. Narwanie trawy dla tak licznej hodowli było dość pracochłonne, więc nieraz upraszczałem sobie sprawę w niezbyt uczciwy sposób – podkradając obok na polu buraki cukrowe. Na lessie sandomierskim rosła dorodne buraki. Problemem dla mnie – małego chłopca – było tylko ich wyrwanie.

Niesamowitym przeżyciem była likwidacja getta w Sandomierzu. Wszystkich Żydów przepędzono do dworca kolejowego. Eskortujący ich siepacze znęcali się nad nieszczęśnikami, bili i zabijali. Po zakończonej akcji cała trasa od getta do dworca była zasłana trupami. Padło również wielu milicjantów żydowskich. Ci ostatni w znacznej większości spełniając oczekiwania mocodawców, do tego czasu zachowywali się nieludzko w stosunku do swoich pobratymców sądząc, że w ten sposób unikną śmierci. Do naszego domu wpadał czasami jeden z milicjantów, gdy przeprowadzał grupę Żydów do lub z Mąkoszyna.

Któregoś razu w niewielkiej odległości od naszego domu w kierunku północnym nieoczekiwanie eksplodował duży pocisk. Jego odłamki zostały rozrzucone na znacznym obszarze. Niemcy dość szybko otoczyli ten rejon, zabraniając do niego dostępu aż do czasu zebrania odłamków i zniwelowania leju po wybuchu. Ale my, chłopcy, byliśmy szybsi od nich. Zanim się Niemcy pojawili, udało nam się zebrać parę jeszcze ciepłych odłamków, nie przypominających znanych nam już przecież artyleryjskich czy też bombowych. Były aluminiowe (pewnie ze stopu aluminium). Potem rozeszła się wiadomość, że pocisk ten został wystrzelony z niemieckiej wyrzutni pod Mielcem. Był to najprawdopodobniej jeden z prototypów nowej niemieckiej broni „V”, nad którym stracono kontrolę i w sposób przypadkowy trafił w ten rejon.

W mieście po raz kolejny powiało grozą. W szpitalu podobno znajduje się kilku czy kilkunastu poparzonych, którzy przeżyli pacyfikację czterech sąsiednich wsi, dokonaną przez okupantów w odwet za kilku zabitych Niemców. Część mieszkańców zginęła, większość zagród spalona. Nazw tych wsi nie pamiętam.

W Sandomierzu, podobnie jak w całej GG, wychodziły gazety polskojęzyczne, tzw. „gadinówki”. Porządny Polak ich nie czytał. Prawdziwe wiadomości rozchodziły się metodą szeptaną i pochodziły z nasłuchu rozgłośni londyńskiej szeroko określanej jako „bum, bum, bum, bum”. Ci z Polaków, którzy jak mój ojciec znali język niemiecki, aby się zaznajomić z aktualną sytuacją na frontach kupowali jeden z nielicznych dzienników przeznaczonych dla Niemców – „Das Reich”. Podawał on wiadomości stosunkowo rzetelnie. Wbił mi się w pamięć artykuł z wiosny 1944 roku, mówiący o linii „Gustawa” w rejonie Monte Cassino we Włoszech. Mieścił się na całych dwóch środkowych stronach. Znajdowało się tam duże zdjęcie lotnicze tego obszaru. Tytuł artykułu, o ile dobrze pamiętam, brzmiał: „Monte Cassino – twierdza nie do zdobycia”. W niedługi czas potem nasi zdobyli tę twierdzę. Wiadomość o porażce w tej samej gazecie ukazała się dopiero w parę dni po fakcie. Napisana była drobną czcionką, oczywiście z pominięciem, kto pokonał doborowe przecież jednostki niemieckie.

Na początku lata 1944 roku, kiedy zbliżał się od wschodu front, wykwaterowano nas z mieszkania i ulokowano na ulicy Czyżewskiego w pobliżu Sienkiewicza. Domek zajęła niemiecka wojskowa jednostka radiolokacyjna. W pobliżu na polu ustawiono obrotowy reflektor, dla obsługi na rzecz samolotów Luftwaffe. Oddział ten był nieliczny. Chyba kilkunastoosobowy. Ponieważ mój ojciec znał język niemiecki, żołnierze tego oddziału przychodzili, aby z nim porozmawiać. Na wstępie poinformowali, że spośród nich tylko dowódca jest hitlerowcem i tylko przed nim należy być ostrożnym. Zapamiętałem zwłaszcza jednego, w cywilu, nauczyciela gimnazjalnego z Bremy. Bardzo przeżywał naloty alianckie na to miasto. Pozostawała tam jego rodzina. Pokazywał nam swoje zdjęcia rodzinne. Utkwiła mi w pamięci fotografia jego małego siusiąjącego syna. Chyba właśnie z powodu tych nalotów i przegrywania wojny to nie byli już ci sami Niemcy, co na jej początku. Cywil mówił również, że gdy w nocy nawiązują łączność radiową z samolotami, większość z nich to „Iwany”.

Kiedy w lipcu front zaczął się coraz bardziej zbliżać, a Niemcy fortyfikowali miasto przystosowując je do obrony przed spodziewaną ofensywą wojsk radzieckich, ojciec postanowił ulokować rodzinę (moja siostra miała wtedy niecałe dwa i pół roku) we wsi Radoszki u znajomego rolnika – pana Kapusty. Nie byliśmy tam jedyną przygarniętą rodziną. Ponieważ było lato i ciepło, więc w pomieszczeniach nocowały kobiety z najmniejszymi dziećmi, a mężczyźni i młodzież męska na sianie w stodole. Kilkunastoletni synowie gospodarza także. Pewnego razu w środku nocy obudził nas głos gospodarza pośpiesznie budzącego swoich synów: „Chłopki wstawajta, jędrusie w nocy utłukli paru Niemców, trzeba wiać”. Wiadomym było, że w takich przypadkach Niemcy dokonywali pacyfikacji wsi. Mój ojciec uzgodnił z mamą, że należy natychmiast opuścić gościnne Radoszki.

Nowym miejscem naszego pobytu stały się Wilczyce. Zamieszkaliśmy u rodziny takich samych wysiedleńców jak my, u państwa Posiłków. Państwo Posiłowie mieli trzech synów w wieku od jedenastu do szesnastu lat. Jeżeli dobrze zapamiętałem, to pan Posiła był przed wojną burmistrzem w Złoczewie w powiecie sieradzkim. Podobno w tym czasie w Wilczycach przebywało około trzech tysięcy ludzi.

I nagle nowe niebezpieczeństwo. We dworze u dziedzica zatrzymało się dowództwo oddziału „Jędrusi” (innej nazwy jednostek AK wtedy nie słyszałem), a przed wejściem stała partyzancka warta z karabinami. W tym czasie wjechało do wsi trzech żołnierzy w mundurach Wehrmachtu. Jeden spośród nich był Niemcem, pozostali zaś Ukraińcami. Przyjechali z zadaniem zorganizowania kwater dla zbliżających się jednostek frontowych. Kiedy zorientowali się w sytuacji, zawrócili i zaczęli się oddalać. Na szczęście „Jędrusie” szybko urządzili pościg i ich zatrzymali. Po krótkim dochodzeniu

zapadł wyrok i wszyscy trzej zostali rozstrzelani, po uprzednim przeprowadzeniu przez pewien odcinek drogi środkiem strumienia, dla zatarcia śladów przed ewentualnym niemieckim rozpoznaniem przy pomocy psów. Przy tak wielkiej liczbie ludzi wydawało się mało prawdopodobne, że Niemcy nie dojdą prawdy. Ojciec zdecydował więc ponownie przenieść swoją rodzinę do leżącej opodal Koloni Wilczyce. Do najwyższej położonego we wsi gospodarstwa pana Stanisława Mazura. A jednak, mimo przeprowadzonego rozpoznania przez służby Wehrmachtu, sprawa się nie wydała. Natomiast, jak się o tym znacznie później dowiedzieliśmy, małżeństwo Posiłowie zginęli rozerwani zabłąkanym pociskiem, gdy szli po zapasy żywności do swojej wykopanej w ziemi piwnicy.

W zagrodzie pana Stanisława Mazura przebywała wtedy większa liczba rodzin. Było również dwóch oficerów AK, w tym brat gospodarza. Od czasu do czasu wpadali do wsi żołnierze niemieccy, zabierając wszystko co żywe na zaopatrzenie swojej armii. Pewnego razu weszła do zagrody bardzo groźnie wyglądająca grupa Kałmuków na służbie niemieckiej, wyposażonych w charakterystyczne zakrzywione noże. Jeden z Kałmuków przekazał informację mimicznym znakiem, przeciągając nożem po swojej grdyce i pokazując jednocześnie na owcę. Chodziło mu o to, że z pozostałych jeszcze zwierząt i ptactwa należy zrobić zapasy i je ukryć, bo inaczej wszystko zostanie przez Wehrmacht zabrane i nie będziemy mieli co jeść. Tak też zrobiono. Do dziś pamiętam smak przesolonego krupniku, ugotowanego na baraninie. Ale w obejściu gospodarstwa były ukryte także dwie świnie, za posiadanie których groziła wtedy taka sama kara, jak za zabicie Niemca, czyli kara śmierci. Żartowano wtedy, że z tego powodu nie ma różnicy między nimi. Świnie były ukryte w wydrążonej w ziemi piwnicy pod drogą prowadzącą od wsi do gospodarstwa, nieopodal bramy wejściowej. Poprzednio mieścił się tam magazyn broni AK. Wąskie wejście zakryte było darnią i obłożone różnymi przedmiotami, typowymi dla gospodarskiego obejścia. Świnie karmiono dla bezpieczeństwa późnym wieczorem lub nocą. Natomiast nie udało się gospodarzowi uchować dorodnej klaczy schowanej w ścianie z pustaków pomiędzy budynkiem mieszkalnym i stodołą. Pewnego razu wjechał do zagrody niemiecki oficer na ogierze i gdy koń zarżał, kobyła się odezwała.

Od czasu do czasu Niemcy wylapywali wszystkich mężczyzn i kazali wykonywać im pod ostrzałem radzieckich samolotów różnego rodzaju umocnienia i okopy. Samoloty te zrzucały także ulotki w języku polskim z informacją, by tam gdzie przebywają ludzie wykladać widoczną pościel z powłoczek (biało-czerwona). Oczywiście przy każdym nalocie mężczyźni salwowali się ucieczką. Za którymś razem, a było to po ścięciu zboża, które leżało w snopkach i świetnie nadawało się na kryjówki, po przejściu zagrożenia wszyscy wrócili do pracy z wyjątkiem mojego ojca. Później ojciec opowiedział nam co przeżył. W czasie ostrzału z samolotów pociski padały wokół snopka, w którym się ukrył. Jak niewiele brakowało, by pozostał w nim na zawsze, a my z mamą nie wiedzielibyśmy do końca co się z nim stało. Ale widać Pan Bóg czuwał.

W pewnym momencie znaleźliśmy się w linii frontu. We wsi ulokowała się jednostka Wehrmachtu. Była to podobno zbieranina z różnych rozbitych poprzednio oddziałów, w tym i osmańskich. W pomieszczeniach naszej chałupy umieszczono punkt dowodzenia. W tym czasie wszyscy domownicy schowali się w schronie krótkiego okopu, wykopanego przez jeńców radzieckich, ale nie wykorzystanego przez wojsko niemieckie. We własnym zakresie nałożono na niego trzy warstwy drewnianych bali przełożonych ziemią. Na wierzchu poukładano bieliznę pościelową – zgodnie z instrukcjami zawartymi w ulotkach zrzuconych z samolotów radzieckich. Schron był tak wypełniony, że dla mojego ojca nie było już miejsca. Zresztą jego i tak przez cały czas gdzieś nosiło i tylko chwilami siadywał w kucki przy wejściu, przyglądając się temu, co się wokół działo. Od czasu do czasu padało pytanie gospodarza: „panie X, wyjrzyj pan, czy czubek chałupy widać”.

Któregoś późnego wieczoru wyprowadził mnie ojciec na zewnątrz schronu. Dookoła jak wzrokiem sięgnąć widać było pożary okolicznych wsi, w tym dworu w Łukawie. Odezwał się do mnie: „Patrz, bo więcej tego w życiu możesz nie zobaczyć”. Był to obraz niezapomniany. Jednocześnie groźny i przejmująco wspaniały.

Mniej więcej w tym samym czasie byliśmy świadkami bombardowania Radoszek przez lotnictwo radzieckie. Radoszek, w których tak niedawno przebywaliśmy. Efektem bombardowania miało być zniszczenie niemieckiej artylerii. Jednak ci swoje działa przenieśli wcześniej w inne miejsce. W ten sposób ucierpiała przede wszystkim cywilna ludność.

Ojciec najczęściej kręcił się po pomieszczeniach gospodarczych. Dokarmiał i poił to, co pozostało z żywego dobytku oraz gotował strawę, którą przynosił później do schronu. Przyrządzał również kawę, którą częstował również żołnierzy niemieckich. Jego obecność tam była tolerowana. Ale mój ojciec wykazał w pewnym momencie zupełny brak ostrożności. Cały czas, przysłuchując się dla zwykłej ciekawości prowadzonym rozmowom, udawał że nie zna języka niemieckiego. Ale kiedy podczas jednej z odpraw dowódca zakomunikował, że „Sandomierz padł”, ojcu wyrwało się na głos po niemiecku „czy to prawda?”. Ów dowódca spojrzał po wszystkich nic nie mówiąc. Wyglądało to wyraźnie jak wyrok. Tata czym prędzej umknął do nas. Za nim przyszedł pod schron żołnierz. Odezwał się do ojca po



polsku: „Schowaj się pan i nie wychodź pan, bo pana sprzątną”. Okazało się, że był to niemiecki Ślązak. I tacy Niemcy też się zdarzali.

Teraz schronu już nikt nie opuszczał. W nocniki robili w schronie również panowie oficerowie. Jeszcze tej samej nocy, po uprzednim zajęciu Wilczyc, wojska bolszewickie podeszły pod naszą wieś. Słychać było walki wokół nas. Żołnierze radzieccy, w przeciwieństwie do ciężko objuczonych hitlerowców, ubrani byli w lekkie letnie mundury i drelichowe buty z cholewkami. Na głowach mieli furazerki. W poprzek przez ramię mieli przewieszane zrolowane koce, a w rękach pepesze. Cały czas parli do przodu. Gdy żołnierze niemieccy nie wytrzymywali już tego psychicznego naporu i próbowali się wycofywać, dowódca celował swój pistolet w ich kierunku zmuszając do pozostania na stanowisku. Od czasu do czasu dawało się słyszeć jego ostry, donośny głos: „Achtung, feuer! Achtung, feuer!” (uwaga, ognia!). I tak to trwało przez całą noc. Nad ranem nadjechał radziecki czołg i zmusił Niemców do wycofania się o około sto metrów w kierunku Łukawy. Tank zatrzymał się przed schronem. Prawdopodobnie jego załoga zauważyła leżącą wokół bieliznę z pościelą (umieszczoną zgodnie z lotniczymi ulotkami). Ruszając w dalszą drogę zakreślił w miejscu pomijając obszar, na którym znajdował się nasz schron. Gdyby nie ten manewr byłoby po nas. Za chwilę pojawił się radziecki żołnierz i zapytał „Germańca gdzieś niet?”. Po otrzymaniu odpowiedzi, że „niet” oddalił się, przy okazji zabierając leżący na ziemi nasz skórzany neseser, w którym były ojca przybory do golega oraz album z rodzinnymi zdjęciami.

Front zatrzymał się w tym miejscu aż do ofensywy styczeniowej. Gospodarstwo państwa Mazurów znalazło się na linii styczności wojsk. Niemcy byli sto metrów dalej i po zauważeniu jakiegokolwiek ruchu strzelali. Kilka karabinowych kul utknęło w bramie i framudze furtki. Po kolei wszyscy opuszczali to miejsce, włącznie z gospodarzami, zabierając ze sobą tylko tyle, ile można było udźwignąć. Resztę dobytku zakopali gdzie popadło. Zostaliśmy sami: rodzice, dwu i półroczna moja siostra i ja. Do jedzenia pozostało nam tylko pół kilograma cukru w kostkach, a moja siostrzyczka poprosiła „mamusiu chciałabym taki malutki garnuszek rosółku”. Mama się rozplakała. Ojciec zdecydował, że nie ma innego wyjścia i mimo znacznego ostrzału trzeba z tego miejsca czym prędzej uciec. Zakopał za stodołą, osłaniającą od ostrzału ze strony Niemców, w świeżo zrytym kartoflisku wszystko to, czego nie mogliśmy zabrać ze sobą. Zrobił to przezornie pod nieobecność żołnierzy radzieckich. Kiedy po dłuższym czasie przybył tu z Sandomierza i po wykopaniu zabrał, radzieccy cmokali ze zdziwienia, że tych rzeczy nie udało się im znaleźć i zużytkować na swój sposób.

Przy akompaniamencie świszczących wokół nas niemieckich kul ruszyliśmy prosto przez pole w kierunku Wilczyc. W pewnej chwili podbiegł do nas radziecki żołnierz i towarzysząc nam w dalszej drodze niósł moją siostrę. W czasie tej drogi zauważyłem biegnące w przeciwną stronę małe pieski, zaprzęzone do noszy na małych kółkach. Taki specjalnie wytrenowany sanitarny ambulans podbiegał bez żadnej eskorty do rannego żołnierza leżącego pod ostrzałem. Ten, o ile był przytomny, wczółgiwał się na ów wózek i pieski wywoziły go poza linię ostrzału.

W Wilczycach było zupełnie inaczej. Niemalże normalnie, choć front był bardzo blisko. Z tego pobytu zapamiętałem dwa zdarzenia. Pierwsze, to egzekucja dokonana przez jednego z radzieckich żołnierzy na własowcu, który się nagle pojawił. Szedł zupełnie zrezygnowany ze spuszczoną głową, z karabinem w opuszczonej ręce. Zabrano mu w pierw pistolet oraz pas, a następnie zabito na oczach wszystkich obecnych w tym miejscu. Radziecki żołnierz, który tego dokonał, podszedł do grupy osób (w której i ja stałem) i rzucił tylko parę niecenzuralnych słów po rosyjsku pod adresem zabitego. Sens tego swoistego komentarza w zasadzie streszczał się do stwierdzenia, że ze zdrajcami nie należy się patyczkować. Chociaż nasz (Polaków) stosunek do żołnierzy Własowa czy Kamińskiego był wiadomy, niemniej jednak byliśmy zaskoczeni takim azjatyckim potraktowaniem człowieka. Drugie zdarzenie – stoi grupa kilku osób i rozmawia z oficerem (podobno był kapitanem NKWD) na temat bieżącej sytuacji. Ktoś poruszył sprawę powstania w Warszawie. Z komentarza oficera zapamiętałem tylko to, że „jak się zachciało Palaczkom powstania, no to je i mają”.

Idąc do Sandomierza dotarliśmy na piechotę z podręcznym dobytkiem na furze do ostrzeliwanego przez Niemców mostku nad strumykiem na obrzeżu Radoszek. Wokół tego miejsca było widać znaczną liczbę zabitych koni. Czy były również ofiary ludzkie – tego nie pamiętam. Gdy przechodziliśmy tędy, ponad naszymi głowami przelatywały szumiąc charakterystycznie pociski armatnie, które padały na widoczne nieopodal płonące gospodarstwa. Był to obraz bardzo groźny. Po paru kilometrach, gdy się już oddaliliśmy od strefy bezpośredniego zagrożenia, moja siostrzyczka idąc polną drogą i wzbijając nóżkami tumany kurzu wołała: „Ale cholela ścielają, ale cholela ścielają!”. I tak dobiliśmy do Sandomierza, który został zajęty przez wojska radzieckie oskrzydłującym manewrem bez żadnych zniszczeń.

W tym czasie, gdy front był tuż tuż, dowództwo „Jędrusiów” zorganizowało zgrupowanie niemalże całej swojej młodzieży sandomierskiej pod Pielaszowem. W większości byli to kilkunastoletni chłopcy i dziewczęta. Dowódców było tu niewielu. Kiedy zniemacka całe zgrupowanie znalazło się w okrążeniu wojsk niemieckich i podobno własowców, młodzież rozpierzchła się w popłochu po polu. Wyłapywano ją po kolei jedno po drugim, mordując w okrutny sposób, szczególnie dziewczęta. Tak została zamordo-

wana m.in. wysiedlona z Sieradza Halina Łochowska. Nie przeżyło też dwóch moich imienników z mojej ulicy: Dudek i jeden z trzech braci J. (nazwiska już nie pamiętam. Natomiast zapamiętałem, że w czasie kiedy pani J. przez dłuższy czas nie wiedziała, gdzie podziewają się wszyscy trzej synowie, przede wszystkim obawiała się o tego, który zginął pod Pielaszowem). Pozostali powrócili do domu cali i zdrowi. Pomnik okrutnie pomordowanych znajduje się na sandomierskim cmentarzu.

Po powrocie do Sandomierza mój ojciec poszedł do pracy w urzędzie skarbowym, a ja do szkoły, do piątej klasy. Nie były to normalne zajęcia, gdyż często przerywał je niemiecki ostrzał artyleryjski. W czasie jednej z lekcji matematyki słychać było coraz bardziej zbliżające się w kierunku szkoły wybuchy pocisków ciężkiej artylerii. Taki pocisk był wystrzelony o różnych porach dnia co około osiem minut. Wpierw słychać było wystrzał. Gdy po paru sekundach dochodził do uszu charakterystyczny świst przelatującego pocisku, znaczyło to, że leci na miasto (śródmieście). Jeżeli nie, to można było się spodziewać wybuchu gdzieś w pobliżu. Na tej lekcji uczniowie wyczuwając niebezpieczeństwo chcieli natychmiast zejść do szkolnego schronu, jednak pani zdecydowała, by jeszcze dokończyć rozwiązanie matematycznego zadania. Nagle pocisk eksplodował niedaleko szkoły przy okazji wybijając większość szyb. W naszej klasie też. Nie pomnę już, na którym było to piętrze. Wszyscy, łącznie z nauczycielką, uciekli do schronu. A ja nieostrożnie wybrałem ucieczkę do domu. Biegając tak kilkakrotnie padałem i leżąc skulony na jezdni przywieriałem do krawężnika. Po dwóch miesiącach takich ekstremalnych warunków przerwano naukę w szkole i wznowiono ją dopiero po styczniowej ofensywie.

Przez cały czas istnienia radzieckiego przyczółka frontowego pod Sandomierzem kwaterował u nas radziecki major. Był to bodajże dowódca jednostki saperów. Oprócz niego mieszkała z nami jego dwudziestoletnia sekretarka Donia – zaciekle komunistka (będąca wówczas w dość zaawansowanej ciąży) i dwaj ordynansi. W małym mieszkaniu składającym się z pokoju z kuchnią radzieccy zajęli pokój. Podstawowym i prawie jedynym zadaniem Mikołaja było pilnowanie, by w typowym rosyjskim samowarze był zawsze „kipiatok”. Bywało, że majora nie było na kwaterze dzień i znacznie dłużej, ale o której nie wracałby porze zawsze padało bezwzględne polecenie „Mikołaj, dawaj czaj!”. Jeżeli polecenie nie zostawało wykonane w czasie oczekiwanym przez polecającego, kiepski był los Mikołaja. Najlżejszą z kar było wysłuchiwanie obelg w rodzaju „ty sapog, ty durak!”. Gdy powrót majora był o ludzkiej porze i moja mała siostrzyczka była w domu, major wołał do niej „Izunia, dawaj krużku!”. A ona mu odpowiadała: „Major, dawaj czaj!”. Po czym major brał małą na kolana i pili razem przy stole herbatę z samowara, bawiąc się jednocześnie nakręcanym i dzwoniącym, prawdopodobnie „zdobyczym” budzikiem.

Obaj ordynansi i każdy z osobna w towarzystwie Doni zapytywani o cokolwiek, co dotyczyło Związku Radzieckiego, wyrażali się zawsze bardzo pozytywnie. Natomiast gdy byli sami, stawali się bardziej szczerzy. W takiej właśnie sytuacji drugi ordynans, pochodzący ze wsi Fiedia, zapytany przez mego ojca, co to takiego jest kolchoz, określił go tak – „smatri, kałchoz – tak ty Wańka rabotaj, a ja spiu”. Natomiast Mikołaj stał się ekspertem bimbru produkowanego przez ojca z buraków cukrowych. Z samych zarobków w urzędzie nie dało się żyć. Do produkcji bimbru niezbędne były drożdże. W ówczesnych warunkach były w Sandomierzu niedostępne. Dostał je ojciec od ministra finansów PKWN Dąbrowskiego, będąc w delegacji służbowej w Lublinie. Podróż powrotna z delegacji, ze względu na wieziony „trefny” towar była pełna przygód. Ale w końcu ojcu udało się drożdże dowieźć do domu, chociaż nie wszystkie jakie otrzymał w Lublinie.

Dużym zainteresowaniem naszych wyzwolicieli cieszyły się zegarki. Kiedy już sandomierzanie przestali nosić zegarki na rękach, znalazł się żartowniś w mundurze i zatrzymując naiwnego cywila zwrócił się do niego niezwykle uprzejmie: „Pan, razieszitie mienia, skolko wremia?”. Zatrzymany delikwent, zaskoczony taką wyszukaną grzecznością, wyciągnął zegarek z zakamarków kieszeni, by móc na tak grzeczne pytanie dać nie mniej uprzejmą odpowiedź. Wówczas słyszał natychmiastowe „dawaj czasy”.

Inny obrazek. Do sklepu spożywczego usytuowanego w pobliżu bramy opatowskiej wchodzi radziecki żołnierz i patrząc na worek z cukrem pyta, czy może dostać (kupić) pół kilograma cukru. Otrzymał odpowiedź, że może. A kilogram? Może. „A dwa kilo?”. Gdy tak doszedł w pytaniach do dziesięciu kilogramów, sprzedawca poinformował go, że może kupić cały worek. Na to wyraźnie zaskoczony żołnierz odpowiedział, że on tego nie rozumie. Wtedy nikt nie był w stanie pojąć, dlaczego taka była jego reakcja. Po pewnym czasie, gdy zadziałał system gospodarki radzieckiej, już było wiadomo.

Na rynku, pod figurą Św. Józefa, ustawione w dwuszeregach oddziały radzieckie, nie pamiętam z jakiej okazji, oddają salwy z karabinów, głównie popularnych tzw. pepeszy. Ja wraz z rówieśnikami kręcąc się bezkarnie między oddziałami. Nagle spostrzegamy, że tuż przy nas pada jeden z żołnierzy z pierwszego szeregu. Podobno niechętny postrzelił go śmiertelnie kolega z drugiego szeregu. Nieszczęśliwy wypadek. Ale jakże zaskakująca wypowiedź jednego z żołnierzy z tego samego oddziału – „niczewo, nas mnogo”.

Wigilia 1944 roku była niezwykle skromna. Ponieważ pokój był zajęty przez „naszych”, wieszczę spożywalimy w kuchni. Chociaż było ciasno, znalazło się miejsce na średniej wielkości choinkę i „coś” pod nią dla mojej siostry i dla mnie. Zresztą ojciec na każde – także okupacyjne święta starał się, by było coś na stole i przynajmniej dla dzieci coś pod drzewko. Tego roku był do podziału dla wszystkich jeden mały karpik. Ale był. Pamiętam, że w tym okresie trudno było także o chleb. Przez pewien czas wypiekano w piekarniach chleb tak gorzki, że nie dawało się go przełknąć. Do skonsumowania nadawała się tylko sama skórka. Mówiono, że był wypiekany ze stęchłej mąki, albo do mąki dodawano mączkę z kasztanów.

Przez pewien okres kwaterował u państwa Dudków – naszych sąsiadów (mieli cztery córki oraz jednego syna, który zginął pod Pielaszowem) radziecki oficer, bodajże w stopniu kapitana. Dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że był z NKWD. Uwielbiał grać w karty. Ponieważ państwo Dudkowie z moimi rodzicami grywali w kierki, on także nauczył się tej gry. I w związku z tym powstał pewien problem. W grze w kierki w pierwszej jej fazie zbiera się punkty ujemne. Jest taka jedna rozgrywka, w której zbiera się połowę wszystkich ujemnych punktów. Do tego czasu rozgrywkę tę określano, jako bolszewika. Przy kapitanie raczej było to niewskazane, więc nazwę zmieniono na rozbójnika.

Pora południowa w dniu roboczym. Major już się z całą załogą wyprowadził. Ojciec jeszcze w pracy. Do mieszkania wchodzi kilku żołnierzy radzieckich i pyta, czy z braku miejsca gdzie indziej mogą tu jakiś czas zabawić. Widowym było, że w takich sytuacjach nie można było odmówić. Najstarszy stopniem był młody chorąży. Jak się później okazało, był najbardziej agresywny. Wyciągnęli butelkę alkoholu i zaczęła się libacja. W miarę upływającego czasu towarzystwo zaczęło czuć się coraz swobodniej i zaczepiać moją mamę. W pewnym momencie wszedł wracający z pracy mój ojciec. Towarzystwo wykazało z tego powodu wielkie niezadowolenie. W pewnym momencie porządnie już podpity chorąży podskoczył do ojca z wyciągniętym z kabury pistoletem i krzyknął „ty wredni Paliak, ja ciebie ubiju”. Na szczęście pozostali, bardziej trzeźwi i zrównoważeni, obezwładnili napastnika wyrwijąc z jego ręki pistolet i natychmiast całe „towarzystwo” opuściło nasz dom. Ojciec uwolniony wybiegł z kuchni, gdzie się odbywała libacja i przez otwarte okno w pokoju uciekł do ogrodu. Wrócił po opuszczeniu domu przez „gości”. Coś go tknęło, by zajrzeć do małej komóreczki, do której było wejście z korytarzyka, obok drzwi wejściowych do kuchni. Gdy stwierdził, że z ulokowanych tam zapasów żywności zniknął worek ze znaczną ilością mąki pszennej (co w ówczesnej sytuacji miało wielką wartość), pomimo świadomości zagrożenia udał się do przypuszczalnego miejsca postoju owych „gości”. Gdy rozpoznał jednego z nich oświadczył, że jak nie oddadzą mąki, to pójdzie ze skargą na nich do „kamandy”. Na takie dictum otrzymał odpowiedź, żeby chwilę poczekał. Przynieśli worek i oddając go ojcu przestrzegli, że jeżeli pójdzie „na kamandu” to go wykończą.

W niedługi czas po opanowaniu przyczółka (linia frontu z Niemcami była odległa od Sandomierza od siedmiu do piętnastu kilometrów) zaczęły się aresztowania akowców, szczególnie oficerów, przeprowadzane przez NKWD. Wśród aresztowanych znalazł się między innymi wysiedleńca ze Zduńskiej Woli, jeden z braci Szlubowskich (ożenionych również z siostrami) – Aleksander, a z miejscowych Kuśnierz. O tym ostatnim interweniująca bezustannie jego małżonka, w końcu otrzymała od radzieckiego prokuratora cyniczną informację, że mąż nie wytrzymał przesłuchania i nie żyje.

W przeddzień styczniowej ofensywy wojsk radzieckich Niemcy wczesnym rankiem rozpoczęli wściekły ostrzał Sandomierza. Była to zdaje się niedziela. Leżeliśmy z ojcem na jednym łóżku w pokoju. Ostrzał był tak silny, że nie dało się uciec do schronu, którym była piwnica w murowanym domu państwa Dudków. Do tej pory zawsze się tam chroniliśmy. Nasz dom był drewniany, więc ojciec ulokował całą rodzinę w kuchni, w kącie okolonym ścianą zewnętrzną i dużym piecem. Sam pochylał się nad nami, osłaniając nas dodatkowo własnym ciałem. Plecy przykrył siennikiem, czy też pierzyną. Artyleryjska nawałnica trwała dość długo. Od odłamków wszystkie szyby w domu zostały wytłuczone. Duży odłamek utkwił w kuchni, przelatując przez kredens i przebijając około dziesięciocentymetrową dziurę w jego środkowych drzwiach; dosłownie tuż za ojcem. W pewnym momencie zobaczyłem przez okno lecący w stronę naszego domu, zwalony pociskiem słup telegraficzny. Górna jego część wyładowała w ogródku dzielącym dom od ulicy. W ogrodzie za domem, gdzie jego właścicielka miała około dwadzieścia drzewek owocowych, nie zostało ani jedno. W czasie tego ostrzału w całym Sandomierzu zginął tylko kilkunastoletni chłopiec, który niepotrzebnie wybiegł z domu na zewnątrz. W okresie od lata do stycznia zginęło od niemieckiego ostrzału artyleryjskiego około trzysta osób. W eksplozji pocisku na schodach zewnętrznych ratusza straciła życie grupa sześciu osób.

Zaraz po „nastupljeniu” bardzo się rozchorowałem. Nałożyły się jednocześnie cztery choroby, w tym szkarlatyna i paratyfus plamisty. Leczył mnie wojskowy lekarz radziecki. Podobno nie dawano mi większych szans na przeżycie. Do szkoły poszedłem dopiero na początku maja, po bardzo długiej chorobie i rekonwalescencji. Moja choroba uniemożliwiała ojcu znalezienie pracy na naszych terenach rodzinnych tzn. ziemi łódzkiej. Po styczniowej ofensywie naczelnik urzędu skarbowego w Sandomierzu pan Brodowski został awansowany na dyrektora Izby Skarbowej w Kielcach. Na zwolnione miejsce po nim powołano mojego ojca. Jednak on zdecydowanie wolał wrócić do Łodzi lub w jej okolice. Wolne

stanowiska naczelnika urzędu skarbowego na tym terenie były tylko w Pabianicach i w Sieradzu. Ojciec wybrał Sieradz. Rozpoczął tam swoje urzędowanie w końcu czerwca 1945 roku. I z tym miastem moi rodzice związali swoje życie aż do śmierci. Ja w szkole sandomierskiej, będąc w wieku niespełna jedenastu lat, uzyskałem w trybie przyspieszonym świadectwo ukończenia piątej klasy.